Na życzenie czytelników dziś wywiad z głównym bohaterem filmu „W pustyni i w puszczy".

Tomek czy Staś?

Kiedy Tomek Mędrzak wchodzi na estradę dwutysięcznej hali sportowej w Łodzi w czasie spotkania karnawałowego z dziećmi — wszyscy widza w nim przede wszystkim Stasia Tarkowskiego, sienkiewiczowskiego bohatera „W pustyni i w puszczy" przeniesionego na ekran w eastman-kolorze. Tymczasem ów Staś jest zwykłym chłopakiem, ma już 19 lat, sporo problemów, nie ożeni się z Nel, ma w Warszawie dziewczynę, w filmie nie bił się naprawdę, choć naprawdę jeździł na koniu, a w ciągu trzech lat ciężkiej pracy zdobył 50 tysięcy złotych i poważną chorobę żołądka Nie uderzyła mu też woda sodowa do głowy, swoją popularnością jest trochę zażenowany, chciałby przestać udzielać wywiadów, spokojnie zrobić maturę i zdawać na studia. Wcale nie na aktorskie. Film był piękną przygodą młodych lat, ale czas pomyśleć o wkroczeniu w dorosłe życie. Tomek jest nieco zmęczony. A co ze Stasiem Tarkowskim?

C.d. na str. 4–5

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 12 (2316) | PIĄTEK 8 lutego 1974 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

PROSZĘ O PRZYJEMNY WYRAZ TWARZY

Przyjaciela można spotkać wszędzie i zupełnie nieoczekiwanie... Ta niezwykła i bardzo sympatyczna para pozowała do zdjęcia w jednym z ogrodów zoologicznych. Fotografię zamieszczamy specjalnie na prośbę Małgosi Mostowskiej i jej szkolnych koleżanek z Olsztyna.

Przyznacie chyba, że zwierzaki prezentują się doskonale? (ag)

Wasi koledzy piszą z zagranicy

CHŁOPCY ZE SZWAJCARSKIEJ SZKOŁY

Mam 13 lat, uczę się w Bernie, w Szwajcarii. Szkoła, do której chodzę jest drugim, wyższym stopniem szkoły podstawowej. Budynek jest nowoczesny, w kształcie czworoboku. W środku znajduje się ogród i teatr. Klasy liczą około 30 uczniów. Dzieci są bardzo zdyscyplinowane, dzięki czemu mają większą niż u nas swobodę w szkole i na wycieczkach. Wszyscy są bardzo zżyci, tworzą małą rodzinę.

Sport stoi tu na wysokim poziomie, wielu uczniów poza tym zbiera znaczki, płyty, taśmy z nagraniami znanych piosenkarzy. Nosi się długie włosy, ale bardzo czyste i zadbane.

W szwajcarskiej TV są dobre filmy dla młodzieży, nie ma natomiast żadnych programów takich jak „Ekran z Bratkiem", czy „Zwierzyniec". Dużą popularnością cieszy się „Bolek i Lolek". Wychodzi tylko jedna młodzieżowa gazeta, której nikt prawie nie czyta. Większość dzieci czyta bowiem komiksy lub maleńkie 16-stronicowe książeczki. Co najbardziej mnie dziwi, to fakt, że młodzież szwajcarska w porównaniu z naszą ma tak małą wiedzę o wydarzeniach międzynarodowych, że chyba można ją porównać z wiadomościami naszych pierwszoklasistów! Nasi szwajcarscy rówieśnicy niewiele też interesują się innymi krajami. Za to znają każdą rzeczkę i każdy pagórek w swoim kraju.

(rj)

Paweł Matusewicz
Berno — Szwajcaria

„Szpileczka" z Torunia

Po przeczytaniu korespondencji uczniów i uczennic z kl. VIII „a" ze Stargardu chciałabym także donieść o działającym w naszej szkole harcerskim kabarecie „Szpileczka". Pracujemy w nim od przeszło dwóch lat. Wystawiliśmy wiele programów na Dzień Kobiet, Dzień Nauczyciela, zakończenie roku szkolnego...

W czerwcu odchodzimy z naszej szkoły, ale myślę, że „Szpileczkę" przejmą młodsze harcerki i harcerze. Będzie nad tym czuwała opiekunka „Kabaretu", wspaniała nauczycielka i organizator — druhna Ligia Sierpina. (b.s.)

Mirosława Kamińska
uczennica VIII klasy Szkoły Podstawowej nr 22 w Toruniu

Najdłuższy list świata

Okazuje się, że rekordy ustanawia się również w pisaniu listów. Ostatnio, 17-letni Tom pobił rekord świata w tej dziwnej konkurencji aż o 3 metry! Mieszkając przez ponad 2 lata w szkolnym internacie napisał list do rodziców we Fryburgu (NRF) długości... 223 metrów!

Na zdjęciu: „mistrz sztuki epistolarnej" i jego list zwinięty w krążek niczym staroegipski papirus. A swoją drogą rodzice chyba wolą, aby dzieci pisały nieco krótsze listy, ale za to często. (b)

Foto: CAF-UPI

PORA NA DECYZJĘ

CO DALEJ ÓSMA KLASO!

Coraz mniej czasu do namysłu mają ósmoklasiści, którzy jeszcze nie podjęli decyzji o kierunku dalszej nauki. Chcielibyśmy, aby wypowiedzi starszych kolegów, uczniów szkół różnych typów, jacy zgłosili się na apel Ligi Korespondentów „Świata Młodych", pomogły Wam w dokonaniu wyboru właściwej szkoły.

● **Przeczytajcie uważnie listy wydrukowane na tej stronie gazety!**

● **Przemyślcie raz jeszcze Wasze własne zainteresowania i możliwości!**

● **Naradźcie się z rodzicami i wychowawcami!**

● **Zajrzyjcie do Informatora dla Kandydatów do Szkół Zawodowych!**

Autorom wypowiedzi bardzo dziękujemy za pomoc w zredagowaniu informacji na temat wyboru zawodu. Wszystkim wysyłamy brązowe odznaki korespondentów „Świata Młodych". Listy innych uczniów zasadniczych szkół zawodowych, techników, liceów zawodowych, średnich szkół artystycznych, jakie otrzymaliśmy, będziemy kolejno drukować w naszym piśmie.

Zostanę nauczycielką w przedszkolu

Jestem uczennicą Studium Wychowania Przedszkolnego. Poza przedmiotami ogólnokształcącymi mamy także zawodowe: biomedyczne podstawy rozwoju, psychologię, metodykę, rytmikę oraz obowiązkową grę na pianinie (instrumenty znajdują się w szkole i w internacie). Językiem obcym obowiązkowym jest u nas niemiecki, jednak można się uczyć i innych w kółkach specjalistycznych.

Przy Studium znajduje się internat, w którym czujemy się jak w domu. **Po ukończeniu 4-letniego Studium będziemy nauczycielkami wychowania przedszkolnego.** Wiele z nas będzie się ubiegało o przyjęcia na wyższe studia, lub kontynuowało naukę w 2-letniej szkole pomaturalnej. Wszystkie zainteresowane koleżanki zachęcam do podjęcia nauki w mojej szkole.

Małgorzata Rostoczyńska
Lubomierz, pow. Lwówek Śl.

Monter urządzeń telekomunikacyjnych

Jestem uczennicą I klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Węgrowie. Nauka trwa 3 lata i przygotowuje do zawodów: ślusarza, mechanika, tokarza, mechanika maszyn rolniczych, montera urządzeń telekomunikacyjnych, tkacza maszynowo-ręcznego, mechanika-kierowcy pojazdów samochodowych.

Wybrałam specjalność: monter urządzeń telekomunikacyjnych. Kierunek ten jest zaliczany w mojej szkole do najtrudniejszych, ponieważ trzeba dobrze znać fizykę, matematykę, chemię. W pierwszej klasie mamy cztery dni nauki w szkole i dwa dni zajęć w warsztatach, w drugiej: trzy dni nauki i trzy dni zajęć w warsztatach. Poza przedmiotami obowiązującymi już w pierwszej klasie dochodzą podstawy elektrotechniki, materiałoznawstwo, technologia i rysunek zawodowy.

Po ukończeniu ZSZ podejmę pracę w tutejszym zakładzie ZWUT i będę uczyć się dalej w technikum zaocznym.

Zawód montera urządzeń telekomunikacyjnych polecam dziewczętom i chłopcom interesującym się tele- i radiotechniką. Jest to zawód ceniony, fachowcy są poszukiwani.

„Zadowolona"
Węgrów, woj. warszawskie

Pielęgniarz

Wybrałem LICEUM MEDYCZNE, ponieważ lubię się opiekować chorymi. Do dziś nie żałuję, że podjąłem taką decyzję, myślę, że i w przyszłości będę zadowolony. Wierzę, że za kilka lat zostanę dobrym pracownikiem szpitala, jeżeli oczywiście podołam zadaniom, jakie sam sobie stawiam i jakie dają mi moi nauczyciele.

W naszej klasie jest tylko trzech chłopców, reszta to dziewczyny. Najbardziej lubię biologię, anatomię i łacinę. Lekcje są bardzo ciekawe, zwłaszcza te, które prowadzi nasz wychowawca.

Ryszard Mazur
Brzeg, woj. Opole

Mechanik maszyn elektrycznych

Na początku tego roku szkolnego rozpocząłem naukę w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Łowiczu. Po ukończeniu szkoły zdobędę zawód technika-mechanika maszyn elektrycznych.

Od dawna lubiłem majsterkować, bądź reperować różne elektryczne urządzenia. Teraz upewniłem się na dobre, że wybrałem właściwą szkołę.

Pilnie pracuję zarówno nad przedmiotami ogólnokształcącymi, jak i zawodowymi, by być dobrym fachowcem. W mojej klasie są jednak i tacy koledzy, którzy żałują swojej decyzji, mają złe oceny, nie mogą sobie poradzić z dużą ilością materiału.

Grzegorz Kołosowski
Joachimów, pow. Łowicz

Foto: K. Adamowski

Wiwat górniczy stan

Jestem uczniem Zasadniczej Szkoły Górniczej w Zabrzu przy kopalni „Makoszowy". Szkoła kształci w następujących specjalnościach: elektromonter górnictwa podziemnego, monter układów elektronowych i automatyki przemysłowej, mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego, górnik technicznej eksploatacji złóż. Warunkiem przyjęcia jest ukończenie 8 klas szkoły podstawowej, dobry stan zdrowia.

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia bezpłatnie drugie śniadania w szkole i w czasie zajęć praktycznych, pomoc materialną w gotówce, miejsca w internacie, umundurowanie, bezpłatne podręczniki i przybory szkolne. Najlepsi uczniowie wszystkich klas na zakończenie roku szkolnego otrzymują wartościowe nagrody. Uczniowie kończący klasę III z wynikiem bardzo dobrym otrzymują w nagrodę galowy mundur górniczy.

Uczę się w II klasie o specjalności górnik technicznej eksploatacji złóż i jestem ogromnie zadowolony z wyboru. Szkoła posiada świetnie wyposażone gabinety przedmiotowe. Poza tym jest dyskoteka, działają kółka zainteresowań. Moi koledzy są też zadowoleni z nauki. Dowiadujemy się wiele o polskim górnictwie, poznajemy maszyny górnicze, kopalnię.

Od dawna marzyłem, by zostać górnikiem. Praca jest wprawdzie trudna i odpowiedzialna, ale jednocześnie dobrze płatna i — co najważniejsze — ceniona w społeczeństwie.

Andrzej Janicki
Zabrze (internat ZSG)

W „budowlance"

Jestem uczniem Przyzakładowej Zasadniczej Szkoły Budowlanej w Wodzisławiu Śląskim. Szkoła przygotowuje do zawodów: mechanik maszyn budowlanych, elektromonter, murarz, betoniarz — zbrojarz, posadzkarz. Nauka na wydziale elektromonterskim trwa 3 lata, na pozostałych kierunkach tylko dwa. **Uczniowie otrzymują wynagrodzenie w kwocie od zł. 250 do 520.— miesięcznie oraz ubranie wyjściowe i robocze.**

Po ukończeniu „budowlanki" pragnę podjąć naukę w technikum budowlanym. Jestem zadowolony z wyboru szkoły, w przyszłości będę dobrze płatnym i cenionym fachowcem.

Krystian
Radlin-Głożyny

Dokonałam złego wyboru

Do liceum ogólnokształcącego zostałam przyjęta bez egzaminu wstępnego, marzyłam o studiach wyższych. Obecnie mam trudności, oceny dobre i bardzo dobre w szkole podstawowej zamieniły się tutaj w dostateczne! Poziom nauczania jest wysoki.

Zwątpiłam w dalszą naukę. Po namyśle doszłam do wniosku, że dokonałam złego wyboru. **Gdybym drugi raz miała decydować o wyborze szkoły, zdecydowałabym się na technikum, gdyż daje ono pełne średnie wykształcenie i umożliwia naukę na wyższych studiach. Natomiast LO nie przygotowuje do żadnego zawodu.**

(I kl LO)
Łuków

Zostanę rolnikiem

Jestem uczennicą I klasy Zasadniczej Szkoły Rolniczej w Rożdżałach, co oznacza, że zdobywam zawód rolnika. Nauka trwa dwa lata, a po jej ukończeniu można pójść do technikum rolniczego, ogrodniczego, budowlanego i innych. Lekcje są bardzo interesujące. Codziennie zdobywam nowe wiadomości. Zawód poznaję praktycznie i w teorii, po to, bym miała większe korzyści z mojego gospodarstwa. Z wyboru jestem zadowolona. Tymczasem, zanim powzięłam ostateczną decyzję, długo trwał spór między mną a moimi rodzicami. Nie mogłam się bowiem pogodzić, że nadal pozostanę na wsi i będę musiała wciąż ciężko pracować. Gdy jednak przemyślałam sprawę, doszłam do wniosku, że w każdym zawodzie należy się wykazać dobrą pracą.

Grażyna Łukaszczyk
Trojanów, pow. Kalisz

Opracowały
R. JABŁOŃSKA
B. SKÓRSKA

ZŁOTA KSIĘGA „ŚWIATA MŁODYCH"

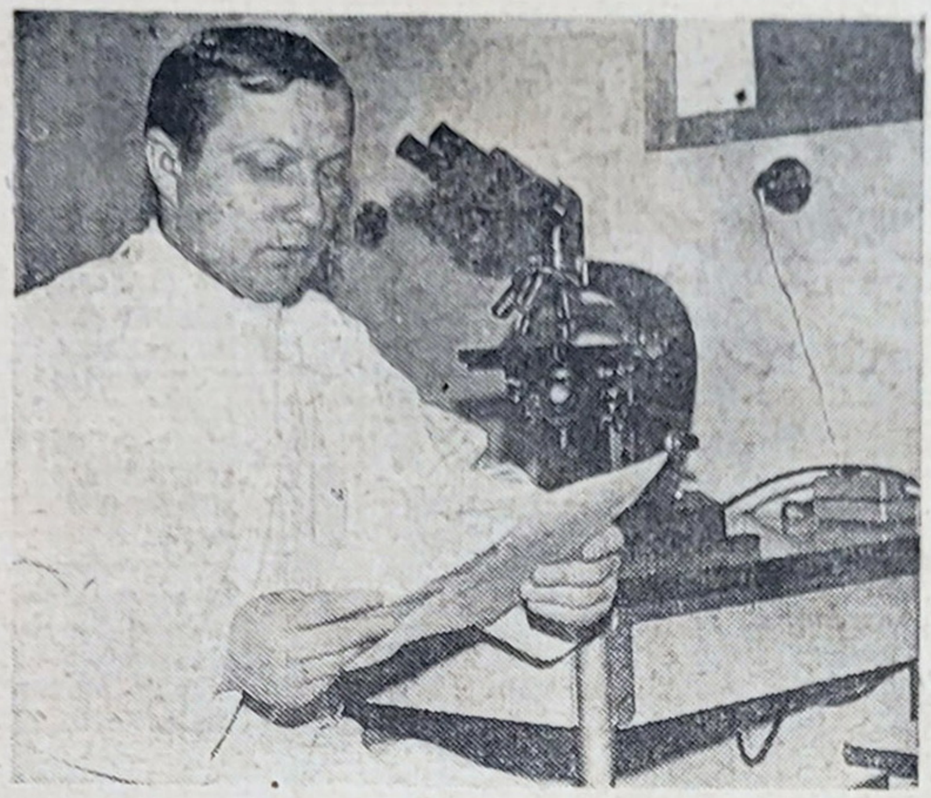

druhu, pojedziemy do ŚWIBNA?

Ten, kto jadał zupę z ustawionego na polowej kuchni wielkiego kotła, sypiał w namiocie rozbitym pod sosnami, nastawiał uszu podczas nocnej warty, wie, że nad obóz harcerski nie ma fajniejszego sposobu spędzenia wakacji.

Mało komu przychodzi jednak na myśl, że te wszystkie wspaniałości obozowego życia mogą także spełniać rolę taką, jak... przepisane na receptę lekarstwo. Kilkutygodniowy pobyt pod namiotami pozwala wtedy zapomnieć o nieuleczalnej chorobie, pozwala przywrócić wiarę w siebie...

Przed 15 laty po raz pierwszy taką obozową kurację „przepisał" dziewczętom i chłopcom chorym na cukrzycę nieżyjący już profesor Redlich, były kierownik kliniki pediatrycznej Akademii Medycznej w Łodzi. Od tego czasu korzysta z niej corocznie — nad morzem w Świbnie k/Gdańska — 200 uczestników.

„DO TEGO POTRZEBNY JEST ENTUZJAZM NIE TYLKO MÓJ..."

Na tych specjalnych obozach przez kilka lat lekarzem był **doktor Hieronim Bartel,** pracownik naukowy Zakładu Histologii WAM w Łodzi. Później został tam drużynowym, wreszcie komendantem. Właśnie jako przyszły komendant za miesiąc, dwa zacznie już po raz ósmy organizować następny letni wyjazd, a w lipcu odda swym podopiecznym już 13 z kolei urlop! Dlaczego to robi? Na pewno nie dla awansu, zaszczytów, sławy. Po prostu wie, że jest bardzo potrzebny komuś, kto na tę pomoc liczy. Bo już od wiosny uczestnicy ubiegłorocznych obozów pytają: — **druhu, pojedziemy do Świbna?** — albo proszą: **— druhu, niech mnie druh zabierze.** A wiadomo, że jak nie zabierze, to nie pojadą w ogóle nigdzie...

Z tego właśnie powodu zaraz na początku naszej rozmowy doktor Bartel powiedział: **Nie wyobrażam sobie, że można by z tych obozów zrezygnować, ale do kontynuowania tej akcji potrzebny jest entuzjazm nie tylko mój, lecz około 30 osób: lekarzy, pielęgniarek, specjalnie przeszkolonych instruktorów, personelu gospodarczego. Liczę, że i w tym roku nie zawiodą.**

ZAPOMNIEĆ O CHOROBIE

— Początkowo na Wybrzeże zabieraliśmy tylko chorych na cukrzycę — mówi doktor Bartel. — To ciężka nieuleczalna choroba, której istotą jest zbyt duża ilość cukru we krwi. Przed 1922 rokiem dziecku, które na nią zachorowało, udawało się przeżyć zaledwie 2 lata. Dziś można z cukrzycą żyć lat nawet kilkadziesiąt. Jednak pod warunkiem, że choremu codziennie zostanie wstrzyknięty specjalny lek, zwany insuliną. Dawkę insuliny trzeba jak najdokładniej co rano obliczać. I tego właśnie, oraz robienia sobie samemu zastrzyków, uczymy przede wszystkim na naszym obozie. Ale proszę nie sądzić, że te zabiegi zakłócają nasz rozkład dnia. Wszystkie one trwają tylko 40 minut. Wystarcza czas między poranną gimnastyką i śniadaniem.

— Od 4 lat do Świbna jeżdżą nie tylko dzieci cukrzycowe?

— Tak, również te, które cierpią na przewlekłe wrzodowe choroby przewodu pokarmowego, plagę naszej cywilizacji, wynik silnych napięć nerwowych. Dzieci te pochodzą najczęściej z rozbitych lub nieszczęśliwych rodzin. Na obozie nie tylko się leczą, lecz i odprężają psychicznie. Inną zupełnie grupę uczestników „sanatorium pod namiotami" tworzą chłopcy i dziewczęta zdrowi. Znana to prawda, że na tle nieszczęść innych ludzi własne cierpienia bledną. Z drugiej strony chcemy dać chorym okazję do sprawdzenia się w towarzystwie zdrowych, pragniemy, aby mogli się przekonać, iż wspólna normalna zabawa jest możliwa.

ONA MUSI BYĆ HARCERKĄ!

Te wspólne zajęcia i zabawy to biwaki poza terenem obozu, gry terenowe, zdobywanie sprawności, dyżury w kuchni, warty — słowem wszystko, co jest właściwe normalnemu obozowi harcerskiemu. To także różne imprezy specjalne...

— Każda z tych imprez — wspomina dr Bartel — dostarcza nam niezapomnianych wzruszeń, gdyż bierzemy w nich udział wszyscy. Tak więc na przykład gdy rozpoczyna się nasz tradycyjny minifestiwal piosenki o nagrodę „Złotego Komara", w pierwszej części popisuje się młodzież, a sędziują dorośli, zaś po przerwie odwrotnie. Ale najwięcej radości dostarczył nam Turniej Podobozów. Jedno z kolejnych jego zadań brzmiało: przyprowadzić na wieczór do obozu... zupełnie obcego człowieka! Pierwsza z grup sprowadziła z przystanku autobusowego 40-letniego mężczyznę, który ponoć długo się temu opierał, bo bardzo mu się gdzieś śpieszyło. Harcerze posadzili jednak wreszcie gościa przy stoliku. W miarę upływu czasu mężczyzna z uwagą zaczął śledzić następne konkursy turnieju. Wreszcie pod koniec wstał i pyta, czy może zabrać głos. I wtedy powiedział, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że harcerstwo to taka wspaniała organizacja, że nie może sobie darować, iż jego 16-letnia córka do niej nie należy. **„Jak tylko wrócę do domu** — dodał — **zacznę ją przekonywać: ona musi zostać harcerką".**

Druh komendant Bartel ma specjalne powody do dumy. Bo przecież dziewczęta i chłopcy tak entuzjastycznie pochwaleni przez postronnego obserwatora to tzw. harcerze sezonowi. Z harcerstwem zetknęli się dopiero tam, na obozie, tam złożyli przyrzeczenie. Na co dzień w drużynach nie pracują.

— Wiem, że jeden obóz w roku — mówi na zakończenie naszego spotkania — to za mało. Że dla tej młodzieży wymagającej specjalnej opieki powinno się organizować zbiórki harcerskie w ciągu całego roku. Zajmę się tym po najbliższych wakacjach. Ostatnio miałem bardzo mało czasu. W Akademii pracuję od rana do wieczora. Złożyłem też pracę habilitacyjną.

•

W CZASACH, GDY OBOJĘTNOŚĆ LUDZI W STOSUNKU DO SIEBIE JEST TAK DOTKLIWA I TAK CZĘSTO ZAUWAŻALNA, ŻE AŻ POWSTAŁ NA JEJ OKREŚLENIE SPECJALNY TERMIN: „ZNIECZULICA SPOŁECZNA", POSTĘPOWANIE LUDZI TAKICH JAK DOKTOR H. BARTEL NAPAWA ZROZUMIAŁYM OPTYMIZMEM. W DOWÓD SZACUNKU, PODZIWU I UZNANIA PROPONUJĘ WPISAĆ JEGO NAZWISKO DO **ZŁOTEJ KSIĘGI „ŚWIATA MŁODYCH".**

T. DROGA-KUPCZYŃSKA

Redakcyjna POCZTA

Mam dziś pilną sprawę do pewnej dziewczynki z miejscowości Zwierzyń, która swój list podpisała „ZMARTWIONA DOROTKA". Ponieważ nie znam nazwiska ani adresu Doroty, odpowiedzieć muszę w gazecie.

Dorotko, piszesz, że okulary które nosisz od dawna, zbrzydły Ci do tego stopnia, iż po prostu więcej ich nie chcesz oglądać. Dodajesz: „WSPÓŁCZUĆ MOŻE MI TYLKO TEN, KTO SAM NOSI OKULARY". Tak się składa, że doskonale Ciebie rozumiem! I ja bardzo chciałabym obywać się bez szkieł! Ale cóż począć? Bunt przeciwko zaleceniom lekarza-okulisty i istotnej potrzebie — niewiele pomoże... Okularów nic nie jest w stanie zastąpić. Pociesz się, że szeregi okularników powiększają i inni pracownicy „Świata Młodych", którzy mogliby uformować cały zastęp! CZEKAM NA WIADOMOŚĆ, ŻE POGODZIŁAŚ SIĘ Z KONIECZNOŚCIĄ NOSZENIA OKULARÓW. Lekarka, która się Tobą opiekuje, z pewnością wytłumaczy, na czym polega Twoja wada wzroku.

„WIELBICIEL I ZAPALONY CZYTELNIK „ŚWIATA MŁODYCH" Z ALEKSANDROWA KUJ. interesuje się historią, zwłaszcza historią wojska i prosi, abyśmy w kolejnych numerach gazety zamieszczali wizerunki żołnierzy z kilku epok. Zastanowimy się nad tym, ale nie mogę obiecać, że prośbę spełnimy. Może napiszesz do redakcji, jakie artykuły o tematyce historycznej, drukowane ostatnio, najbardziej Ci się w „Świecie Młodych" podobały? Wiem z Twojego listu, że w zbiorach posiadasz ponad 300 egz. naszego pisma.

Wszystkim czytelnikom przypominam, aby swoje listy podpisywali pełnym imieniem i nazwiskiem, oraz pamiętali o podaniu dokładnego adresu na odwrocie koperty. Niektórych spraw nie można załatwić w „Poczcie Redakcyjnej". Możecie mieć całkowite zaufanie: nie publikujemy nazwisk autorów korespondencji, jeśli sobie tego nie życzą.

ANNA GRZYBOWIECKA

Po uratowaniu od głodowej śmierci słonia Kinga i oswobodzeniu olbrzyma z wąwozu, podróżnicy docierają do zacisznej kotliny, w której rośnie spróchniały w środku baobab. Będzie dobrym schronieniem przed ulewą! Niestety, przewidywania Stasia sprawdziły się — Nel jest chora. Jej twarz blada i wynędzniała, drugi atak febry jest bardzo groźny...

W PUSTYNI I W PUSZCZY
Album „Świata Młodych"

Wytnij, zachowaj

KUPON NR 16

C.d. ze str. 1

Tomek czy Staś?

— Staś to nastolatek, a ja mam już prawie dwadzieścia lat, chociaż kiedy dzieci rozpoznają mnie na ulicy, niemal wszystkie mówią: „Patrz, idzie Staś..." Wiem, że tym filmem przypisałem do swojej osoby tamtego, wymyślonego chłopca i że jeszcze musi trochę czasu minąć, nim na powrót stanę się Tomkiem Mędrzakiem.

Nie chcę tu mówić o wartości filmu, bo zwłaszcza swą grę oceniam dość krytycznie, ale to przecież fakt, że w ciągu czterech godzin projekcji staję się dla wielu dzieci pewnym ideałem życiowym, wzorem do naśladowania na długie lata, nim nie wyrosną i nie staną się dojrzalsze. W czasie jednego ze spotkań usłyszałem nawet: „Bardzo dziękuję ci, Stasiu, że taki dobry film zrobiłeś. To był naprawdę najpiękniejszy film, jaki widziałem..." Czułem się wtedy bardzo zażenowany, bo to nie mnie trzeba dziękować przede wszystkim.

Mój udział w tym filmie nie był tak wielki. Stasia stworzył przecież reżyser, Władysław Ślesicki, a potem ci dorośli aktorzy, którzy ze mną grali: Stanisław Jasiukiewicz z początku, gdy żył, bardzo mi pomagał. Byłem przecież „surowy". Miałem sporo zwątpień i rozgoryczeń. Codziennie po 10—12 godzin na planie, w słońcu, albo pod strugami zimnej wody. Niekończące się powtórki, próby... Ale czasami przychodziła ta odrobina satysfakcji, która łagodziła przykre chwile. Coś mi wychodziło, jakieś ujęcie zrobiłem dobrze i wiedziałem, że to jest niezłe — i to były te fajne momenty. Teraz kiedy patrzę na gotowy film, wiele bym zmienił, za niektóre ujęcia się wstydzę...

— CZY ROLA STASIA ZAWAŻYŁA JAKOŚ NA TWOIM ŻYCIU OSOBISTYM?

— Kiedy zaczynałem pierwsze zdjęcia, miałem 15 lat, byłem więc właściwie rówieśnikiem powieściowego bohatera. Nie sądzę wprawdzie, aby tak młody chłopak mógł znieść tyle przygód i okrucieństw, jakimi obdarzył go Sienkiewicz, ale chyba nie to jest najważniejsze. Ważny jest jego stosunek do Nel: bezgraniczne poświęcenie, wielka przyjaźń, porozumienie mimo jednak sporej różnicy wieku. Staś był po prostu dobrym człowiekiem, nie egoistycznym, był w każdej sytuacji optymistą.

Trudno mi powiedzieć, czy jest to na ekranie widoczne. Starałem się, by tak było. Wiem natomiast z całą pewnością, że to ciągłe „wczuwanie" się w postać Stasia pozostawiło ślad w mojej psychice. Lubię sprawiać ludziom przyjemność, umiem cieszyć się nawet drobiazgami, nigdy nie tragizuję, zawsze staram się z trudnych sytuacji znaleźć wyjście.

Mam teraz kłopoty w szkole. Do zaległości powstałych w czasie robienia filmu doszły inne — te związane z moją chorobą żołądka. Ale wiem, że muszę nadgonić, zdać maturę i dostać się na studia — to są moje dwa główne cele, które chyba osiągnę. Wyobrażam sobie w razie niepowodzenia miny niektórych ludzi: „Wiadomo, aktor, po co mu nauka..." Albo: „Zachciało mu się filmu..." A ja o ten film wcale nie zabiegałem. Na próbne zdjęcia poszedłem z ciekawości, po to, żeby zobaczyć jak wygląda wytwórnia, bo interesowała mnie od najmłodszych lat „kuchnia" filmowa, bo zajmuję się fotografiką, no, bo po prostu jestem ciekawski... A potem zaskoczenie: zawiadomienie o tym, że jestem jednak zaangażowany. Kto by się temu oparł?

— JEDEN Z BOHATERÓW NOWELI NASFETERA POWIEDZIAŁ MI KIEDYŚ, ŻE PO NAKRĘCENIU FILMU STRACIŁ NIEMAL WSZYSTKICH KOLEGÓW. CZY TY TEŻ JESTEŚ SAMOTNY?

— Samotny? Trochę tak, choć bardzo dobrze czuję się w domu z rodzeństwem. To właściwie moi wspaniali przyjaciele. Mam ich na co dzień. Ale moja dziewczyna jest w Warszawie. I z kolegami przedziwna historia... Nie potrafię znaleźć z nimi wspólnego języka, mimo że oni okazują mi swą przyjaźń. I to naprawdę nie jest bufonada...

W czasie kręcenia filmu przez cały czas obracałem się w kręgu ludzi dorosłych: znani aktorzy, reżyser, scenarzysta — cała ekipa. Byłem skazany wyłącznie na nich. Mógłbym być samotny, ale samotność mnie męczy. Dlatego starałem się brać udział w ich życiu, w ich spotkaniach i dyskusjach. Musiałem jednak przestawić się na ich sposób myślenia, musiałem podciągnąć się do ich poziomu, bardziej wnikliwie spojrzeć na świat, bo to było potrzebne do zrozumienia roli, do jej analizowania.

Z początku czułem paniczny strach przed zdjęciami. Kiedy wracaliśmy z planu, udawałem, że śpię, bo bałem się krytyki reżysera, a jednocześnie roztrząsałem każde ujęcie. Byłem w ciągłym konflikcie: grałem młodego chłopca, a traktowano mnie jak dorosłego. I ja po prostu szybciej dojrzałem. Musiałem nawet.

Dobrze czuję się w gronie starszych od siebie, interesuję się ludźmi, ich postępowaniem, ciekawi mnie człowiek od środka, to, co kieruje jego czynami. Na poważnie też zajmuję się fotografią. Szukam ciekawych ludzkich twarzy. Chodzę nieraz godzinami po to, by zrobić jedno zdjęcie. I dlatego nie potrafię żyć pusto: od prywatki do prywatki, od dowcipu do wyglupu. Może to moja ułomność, może będę później żałował, że zabrakło mi dzieciństwa czy najbardziej szalonych młodych lat. Może... Ale na razie czuję inaczej.

— JAK REAGUJESZ NA TAK ZWANĄ POPULARNOŚĆ GDY LUDZIE POZNAJĄ CIĘ NA ULICACH, GDY BIERZESZ UDZIAŁ W SPOTKANIACH Z WIDZAMI?

— Myślę, że nikt nie potrafi się temu oprzeć. To miło słuchać pochwał, być przyjmowanym przez ministra, uczestniczyć w konferencjach prasowych i premierach, słuchać wypowiedzi dzieci, które widzą we mnie swojego bohatera. Ale nie można wpaść w euforię. Bo wtedy koniec: syfon w głowie, ja — pan świata, wielki gwiazdor, a tu tymczasem nawet nie aktor! Kto wie czy i ja nie przewróciłbym sobie w głowie, gdyby nie

reżyser Ślesicki, który po prostu nauczył mnie chyba patrzenia z dystansu na to, co się stało i co się wokół mnie dzieje. Poza tym nie miałem też czasu na zgłupienie: eksternistyczne zaliczanie kolejnych klas, nadrabianie zaległości w nauce, odnawianie starych znajomości... Ale powrót do ławki szkolnej — przyznam się szczerze — po tych dowodach popularności i uznania, gdzie ja znajdowałem się w centrum zainteresowania, był nieco przykry. Tylko, że jak Staś staram się być optymistą, i to mi pomaga. Jestem z natury wesoły!

— A CZY NIE JESTEŚ TROCHĘ ROZGORYCZONY?

— Wiele zależy od mojego aktualnego nastroju. Gdy coś mi się nie udało w szkole i słyszę, że to z pewnością przez film, to wtedy wydaje mi się, że gra nie była warta świeczki. Ale gdy jestem w świetnym humorze, myślę sobie, że jednak była to przede wszystkim wielka wspaniała przygoda, którą dobrze wykorzystałem. Moje jeszcze przedfilmowe zamiłowanie do fotografii skrystalizowało się. W przyszłości chciałbym zostać operatorem. Mam też sporo obserwacji krajoznawczych i społecznych. Poznałem przecież wiele krajów i narodów. Byłem w Sudanie, gdy wybuchła tam bratobójcza walka, odwiedzałem murzyńskie wsie, które nie widziały nie tylko kamery, ale i białego człowieka. Stwierdziłem, że Afryka jest tak naprawdę zupełnie inna niż opisywał to Sienkiewicz.

*

Jeden z czytelników napisał do redakcji: „Zazdroszczę Tomkowi jego życia. Sława, duże pieniądze, dalekie kraje, szczęście". Inny zaś: „Tomek jest zarozumiały. Wysłałem do niego trzy listy i na żaden nie odpowiedział. Widać mu odbiło..." Chciałem więc zobaczyć, jak to jest naprawdę. Przegadałem z Tomkiem trzy długie wieczory. Czytałem też wywiad, w którym pewna łódzka dziennikarka napisała, że Tomek ma długie włosy, niebieskie oczy i że nie jest tak wysoki jak to się wydaje na filmie. Napisała też, że jest szczęściarzem, bo przeżył to, o czym marzą tysiące nastolatków. I to jest prawda. Ale każdy medal ma dwie strony i jeśli udało mi się przybliżyć wam filmowego Stasia, pokazać go nie w świetle jupiterów przy 2-tysięcznej widowni, a prywatnie, to z pewnością polubicie go jeszcze bardziej, także dlatego, iż jest po prostu jednym z was.

— TOMKU, JEST TAKIE OGÓLNE PRZEKONANIE, ŻE AKTORZY NIGDY NIE PRZESTAJĄ GRAĆ, NAWET W CZASIE PRYWATNYCH ROZMÓW PRZEDSTAWIAJĄ SIĘ TAKIMI, JAKIMI CHCĄ, ŻEBY ICH WIDZIANO. POWIEDZ MI, CZY WE WSZYSTKO TO, CO POWIEDZIAŁEŚ, MOGĘ WIERZYĆ?

— Nie jestem aktorem! A poza tym umawialiśmy się na szczerość.

Rozmawiał:

WOJCIECH PIELECKI

Foto: CAF

WKRÓTCE IGRZYSKA MŁODZIEŻY

2000 ZAWODNIKÓW NA STARCIE!

17 lutego o godz. siedemnastej, na międzyszkolnym stadionie przy Liceum Ogólnokształcącym w Augustowie nastąpi uroczyste otwarcie VI Ogólnopolskich Igrzysk Młodzieży Szkolnej i Studenckiej. Już na początku stycznia został powołany Komitet Organizacyjny Igrzysk, na którego czele stanął wicewojewoda białostocki mgr Zenon Świtaj. Oczywiście organizatorzy imprezy robią wszystko, aby zawody miały prawdziwie olimpijski charakter. Oto co na ten temat powiedział nam sekretarz Wojewódzkiej Rady Koordynacyjnej SZS-AZS w Białymstoku, pan Zbigniew Orzeszko:

— Do Augustowa i Gołdapi przyjedzie ok. 2 tys. najmłodszych zawodniczek i zawodników z całego kraju. Przygotowaliśmy dla nich wygodne kwatery w domach wypoczynkowych i szkolnych internatach. Jestem przekonany, że młodzi sportowcy będą mogli należycie odpocząć po ciężkich zmaganiach.

— Program igrzysk przewiduje wiele konkurencji łyżwiarskich i narciarskich. Gdzie będą one rozgrywane?

— W Augustowie przeprowadzimy konkurencje łyżwiarskie, w tym „Złoty Krążek" „Świata Młodych", i narciarskie dla najmłodszych zawodników. Natomiast uczniowie szkół ponadpodstawowych toczyć będą boje w Gołdapi.

— Czy oprócz zawodów oczekują finalistów krajowych igrzysk jakieś inne emocje?

— Wszyscy uczestnicy igrzysk będą mogli wziąć udział w kuligach do Puszczy Augustowskiej, licznych ogniskach, a każdego dnia w godzinach wieczornych zapraszamy ich na quizy połączone z występami artystycznymi. Te ostatnie odbywać się będą w auli Technikum Budowlano-Elektrycznego w Augustowie. Program pozasportowy jest tak dobrany, aby zawodnicy mogli zapoznać się z pięknem naszego regionu.

— Czego zatem oczekuje Pan od młodych sportowców?

— Marzę tylko o tym, aby każdy z nich w prawdziwie sportowej walce ustanawiał własne rekordy. To będzie dla nas jedyna zapłata za gościnne przyjęcie na Białostockiej Ziemi.

Rozmawiał:

Z. PRZYBYŁOWSKI

od ŁUCZYWA do WIECZNYCH LAMP

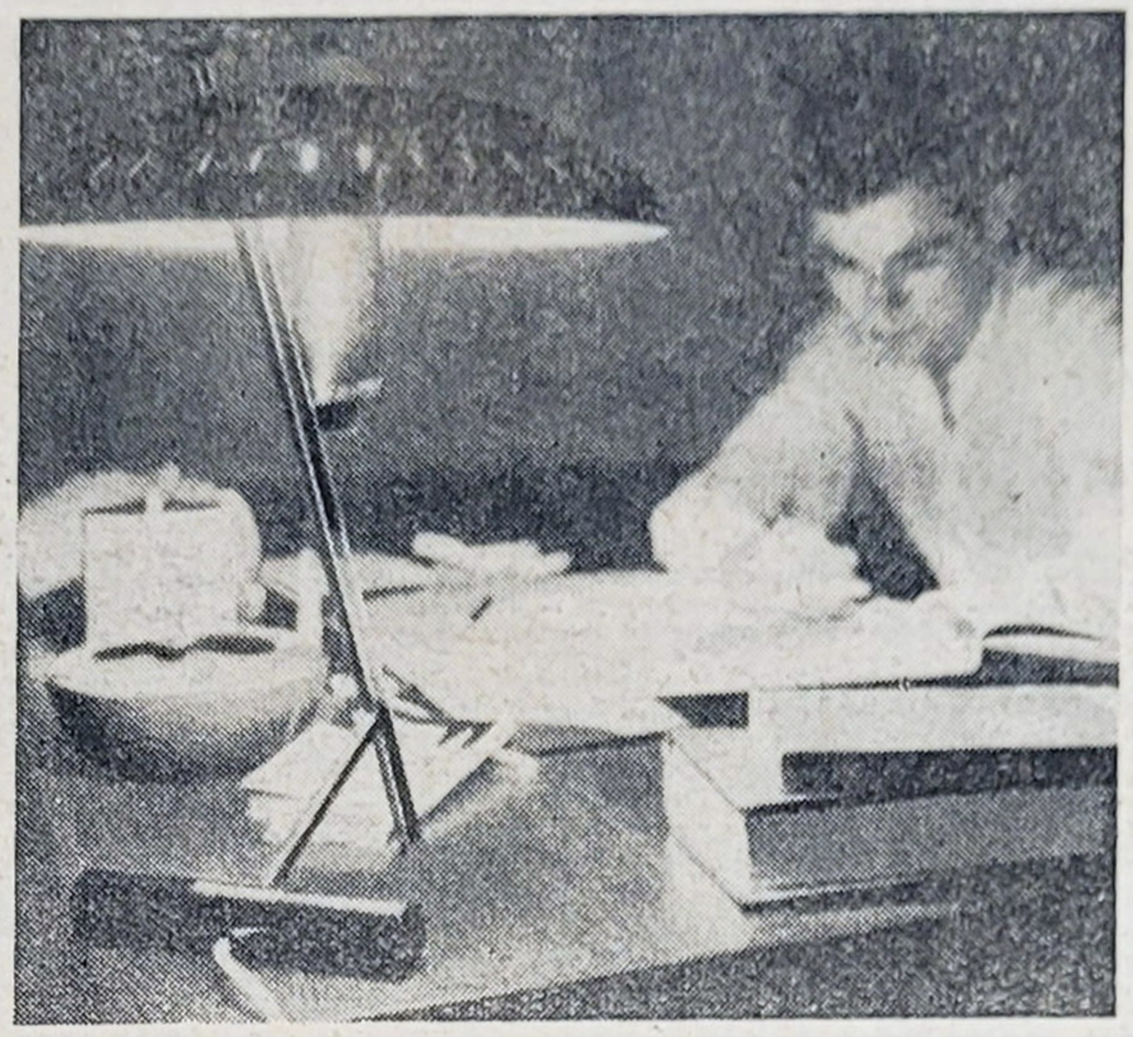

W świetle takiej lampy nie męczy się wzrok.

Światło — to jest to, bez czego nie możemy żyć. Ale tak naprawdę nie wiemy ile i jakiego światła nam potrzeba, żeby pracować, czytać bez zmęczenia, podziwiać obrazy, kupić materiał w odpowiednim kolorze, a nawet... łowić ryby. Bo właśnie naukowcy z Akademii Rolniczej w Olsztynie chwytają ryby na lampę zanurzoną w wodzie.

Najlepsze jest to, co dała sama przyroda — światło dzienne. Cóż, kiedy zimą go tak mało. Człowiek od wieków przedłużał sobie dzień sięgając po sztuczne źródła światła: łuczywo, świecę, wreszcie — lampę naftową wynalezioną przez Ignacego Łukasiewicza. Nie było to oświetlenie bardzo silne, za to bardzo niebezpieczne.

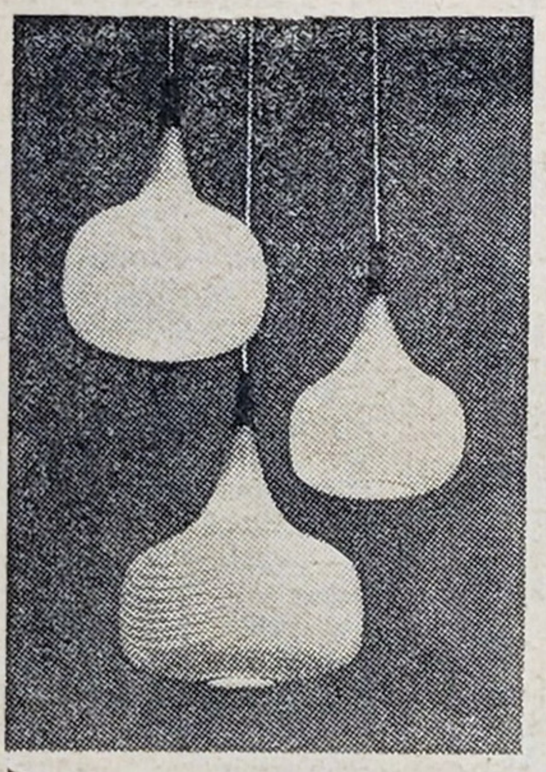

Takie żyrandole są „najzdrowsze".

Czy wiecie, że prof. Zygmunt Wróblewski (ten, który skroplił tlen) pracę przy lampie naftowej przypłacił życiem? Wczesnego zimowego ranka zdrzemnął się nad obliczeniami. Nagle pękł zbiorniczek, zapaliła się rozlana na biurku nafta. Pełen papierów gabinet stanął w płomieniach. Profesor stracił głowę. Był sam w domu. W kilka dni później zmarł wskutek oparzeń.

Wynalazek Edisona

Od początku XX w. uczeni zastanawiali się jak przekształcić energię elektryczną w światło. Udało się to Edisonowi. W pierwszej żarówce żarzyło się włókno... zwęglonego bambusa. A jej światło było 5 razy słabsze niż dzisiejszych żarówek z wolframowym drucikiem.

„Apetyty świetlne" rosły. Żarówka przestała wystarczać. Bo — nie da się ukryć — że więcej grzeje niż świeci. Nową epokę w dziedzinie oświetlenia otworzyły lampy wyładowacze — świetlówki. Dziś nie sposób wyobrazić sobie bez nich ulic i parków. Wysyłają głównie promieniowanie niebieskie, zielone, fioletowe i żółte. Bardzo ładnie podkreślają zieleń liści. Upośledzają natomiast ludzkie twarze. Nie oddają barwy czerwonej. Stąd zamiast rumieńców — niezdrowe sine plamy.

W sklepie oświetlonym jarzeniówkami łatwo o niespodzianki. Wymarzony rdzawy materiał okazuje się w domu brudnoczerwony. A przecież, żeby „urzeczywistnić" kolory, wystarczyłoby uzupełnić oświetlenie jarzeniowe kilkoma żarówkami.

Zresztą uzyskanie naturalnych barw przy sztucznym oświetleniu to cały problem. Po prostu w widmie światła dziennego każda barwa jest zaznaczona równie silnie. Lecz sztuczne źródła światła uprzywilejowują pewne barwy, inne zaś zniekształcają lub pomijają.

Wyjątkiem w tej dziedzinie jest lampa ksenonowa. To oświetlenie stosuje się za granicą w galeriach obrazów, na placach i deptakach, gdzie lubią się spotykać ludzie. Można przy nim wykonywać barwne fotografie jak za dnia.

Kiedy zawitają do nas lampy ksenonowe, nie sposób przewidzieć. Są jeszcze dość kosztowne. Za to pojawiają się już w sklepach, produkowane w NRD.

Wieczne lampy

Mała rurka, a świeci jak żarówka wielkości głowy niemowlęcia. Nowość polega na tym, że wewnętrzna powierzchnia bańki szklanej pokryta jest jodem lub bromem. W zwykłej żarówce rozpalony do czerwoności wolfram powoli paruje. Drucik cienieje, wreszcie się przepala. W żarówce jodowej ulatniający się wolfram osiada na szklanych ściankach. Tam łączy się z jodem. Pod wpływem ciepła (drucik świeci, ale i grzeje) jodek wolframu paruje ze ścianki. Osiada na żarniku. Tu, nie wytrzymując temperatury 3200° C, rozkłada się. Jod wraca na ściankę żarówki, wolfram pozostaje na żarniku. Żarówka — jeśli jej nie stłuc — będzie świecić bez końca.

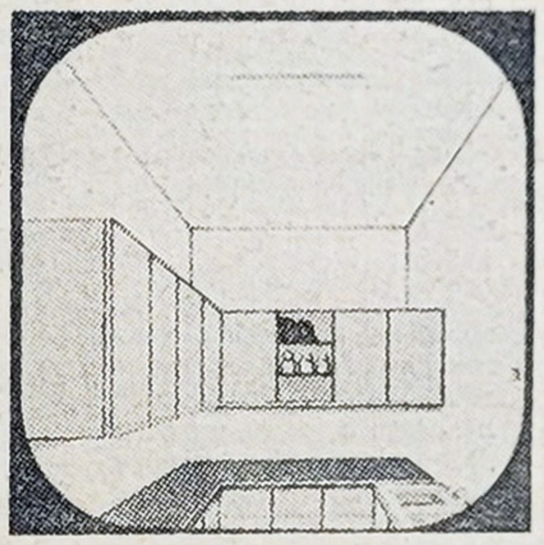

Kuchnia równomiernie oświetlona „odgórnie" z dodatkową lampką nad zlewozmywakiem.

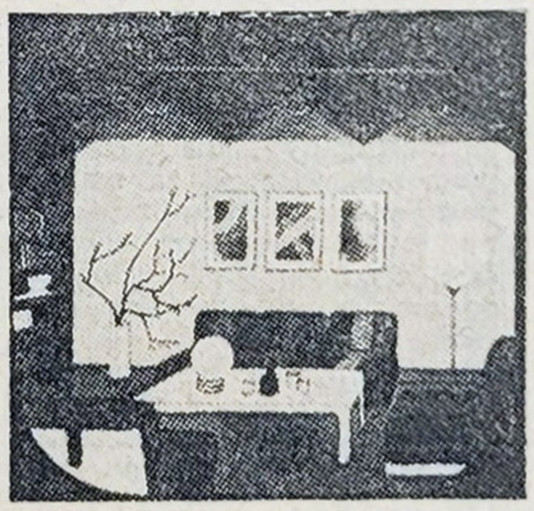

Dobrze wypocząć można w pokoju z białymi kulami nie rzucającymi na ściany niezdrowych dla oczu cieni.

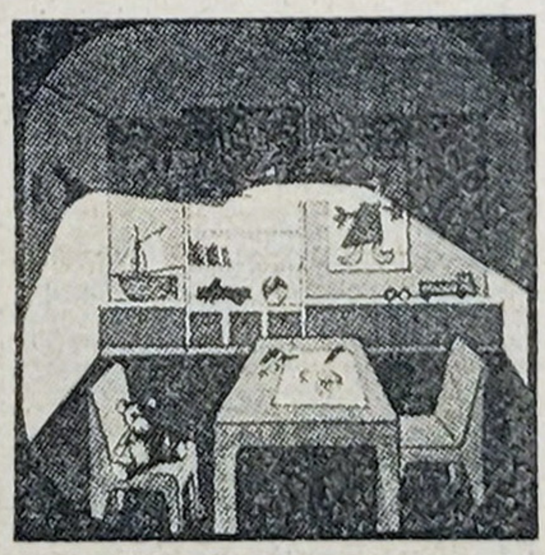

W pokoiku dziecinnym najsilniej powinna być oświetlona część „przyziemna" — podłoga, stoliczek, kącik z zabawkami.

Inna nowość, to lampy w postaci świecących wstęg. Jarzy się w nich specjalna substancja pobudzona do świecenia polem elektrycznym. Można będzie z nich układać bajeczne reklamy. A w pokojach instalować świecące ściany lub sufity. To, oczywiście, sprawa odległej raczej przyszłości. Ale na razie i tak nie za dobrze wiemy jak oświetlić swój dom tym, co jest w handlu.

Białe kule?

Ideałem jest światło zbliżone do dziennego. Więc też z góry należy się wyrzec w mieszkaniu świetlówek. A jeśli już, to wprowadzić je we wszystkich pomieszczeniach. Każdy czuje się nieswojo przechodząc z korytarza oświetlonego żarówką do pokoju zalanego światłem jarzeniowym.

Czy wiecie, że rozwiązywanie problemu oświetlenia wnętrza zaczyna się już w chwili jego malowania? Ściany ciemne pochłaniają 20% światła więcej niż jasne. Ostre barwy ścian zniekształcają światło. Podobnie — jaskrawe klosze. Np. w żółtym pokoju twarze wyglądają jak pokryte plamami. Natomiast czerwony abażur lub takież ściany, pozbawiają nas rumieńców. Kolorowe żarówki w mieszkaniu są po prostu nie na swoim miejscu (nadają się jedynie do iluminacji ulic, parków itp).

Ideał oświetlenia to pokój o pastelowych, jasnych ścianach z białym sufitem i żarówką zamkniętą w białym, nieprzezroczystym i... często mytym kloszu. Żarówka nie może być widoczna z zewnątrz.

Ile światła nam potrzeba?

Więcej, niż się na ogół przypuszcza. Np. w pokoju o powierzchni 10 m² powinien się palić stale żyrandol z trzema żarówkami po 80 wat każda. Miejsce pracy, np. biurko, oświetlamy dodatkowo 40-tką lub 60-tką (żarówka nie może być silniejsza!). Klosz lampki stojącej na lewo od zeszytu znajduje sie na wysokości głowy.

Górnego światła nie wolno wyłączać. Czytanie w ciemnym pomieszczeniu przy małej lampce męczy oczy. Wzrok odrywany od książki trafia w mrok, do którego musi się co chwila przystosowywać.

Do odrabiania lekcji, czytania, najlepsze jest matowe biurko. Wtedy wystarczy zwykła lampa przechybna, otwarta u dołu. Gorzej, gdy mamy płytę szklaną lub blat „na wysoki połysk". Musimy wówczas bardzo starannie dobrać oprawę oświetlenia. Najlepiej niech to będzie metalowy grzybek rozpraszający światło żarówki umieszczonej w metalowej osłonie. W żadnym przypadku żarówka nie powinna „przeglądać się" w blacie. Przy wadliwym oświetleniu grozi nam „olśnienie", czyli chwilowe oślepienie silnym, odbitym od błyszczącej powierzchni strumieniem światła.

Chcecie oderwać się od książki i obejrzeć telewizję? Proszę bardzo, ale wraz z telewizorem włączcie lampkę, która oświetli ścianę za odbiornikiem. Nie będziecie wtedy odczuwali zmęczenia.

A teraz przyjrzyjcie się krytycznie pokojowi, w którym najczęściej przebywacie. Czy nie trzeba wkręcić silniejszych żarówek? Może kurz zebrał się w oprawach? A gdyby tak wprowadzić małą rewolucję w oświetleniu waszego domu? Wiecie teraz co zrobić, by lepiej się w nim czuć. I uchronić oczy przed okularami.

MARIA WRÓBLEWSKA

Pan Samochodzik i TAJEMNICA TAJEMNIC

(9)

ZBIGNIEW NIENACKI

Rys. Anna Stylo-Ginter

STRESZCZENIE

Od pewnego czasu cenne ikony halickie z terenów Rzeszowszczyzny dziwnym sposobem dostają się w ręce zagranicznych zbieraczy dzieł sztuki. Kto je nielegalnie wywozi? Tę zagadkę ma rozwiązać pan Tomasz. Od zaprzyjaźnionego historyka sztuki Czecha Dohnala dowiaduje się, że niejaki Zdenek Blacha sprzedał w Pradze taką ikonę. Pan Tomasz z psem Protazym jedzie do Pragi swoim dziwnym wehikułem. Psa zostawia w niezamkniętym aucie przed domem, a sam gości u Dohnalów. Młodsza córka pana Dohnala, Ludmiła, czyni honory domu. W chwilę później powraca z miasta starsza córka Helena w towarzystwie przyjezdnego Polaka pana Skwarka. Ten, rozbawiony, opowiada o śmiesznym wehikule, który stoi przed bramą. Wszyscy zbiegają na dół obejrzeć to dziwo. Skwarek dopada do samochodu, otwiera drzwi i nagle rzuca się na niego Protazy i wyrywa mu rękaw od marynarki. Pan Tomasz przyznaje się do samochodu i do psa. Towarzystwo wraca do mieszkania, zamykając psa w łazience.

Panna Helenka przygotowała znakomitą kolację. Jedliśmy ją prowadząc rozmowę na najróżniejsze tematy, aby jak najszybciej puścić w niepamięć przykry incydent.

Pan Dohnal nie wyjawił celu mego przyjazdu do Pragi, ale napomknął Helence i panu Skwarkowi, że pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki i zajmuję się ochroną zabytków. Rozmowa toczyła się wokół tego tematu, zwłaszcza, że panna Helenka, jako kustosz Złotej Uliczki, przeżyła nie tak dawno historię włamania do jednego z przeznaczonych na muzeum malutkich domków.

— Złota Uliczka, jak pan zapewne słyszał — opowiadała — pozostaje w tradycji prażan jako miejsce, gdzie w czasach cesarza Rudolfa II mieszkali i żyli przeróżni magowie i alchemicy. I choć nie jest to zapewne prawdą, to jednak gdy Złota Uliczka została odrestaurowana i przeznaczona na muzeum, w jednym z domków postanowiliśmy odtworzyć pracownię alchemiczną. Ściągnęliśmy stary sprzęt alchemików, przeróżne tygle, retorty oraz inne eksponaty. Pewien naiwny młody człowiek widocznie uwierzył, że tam robi się złoto, wykroił wieczorem szybę w domku, wszedł do środka i ukradł kawałek miki, którą wziął za złoto. Ponadto jeszcze porwał srebrną blaszkę. Schwytano go, gdy usiłował wyleźć z łupem przez okno. Za ten kawałek miki i za srebrną blaszkę nie otrzymałby od nikogo nawet złamanej korony. A dla nas, muzealników, ta blaszka była wartościowa, bo należała kiedyś do słynnego alchemika, Kelley'a.

— Tak, tak — pokiwał głową pan Dohnal. — Wielu młodych ludzi nie ma jeszcze należytego szacunku dla obiektów muzealnych.

Magister Skwarek skierował rozmowę na zupełnie inny temat. Zaczęliśmy mówić o sporcie.

— Bardzo cenię kulturę fizyczną — stwierdził. — Codziennie rano ćwiczę. Rozciągam sprężynę. I panu też to radzę — zwrócił się do mnie. — Zauważyłem, że pan się nieco garbi. Sprężyna znakomicie prostuje sylwetkę.

Dociął mi, szkoda gadać. I celnie trafił, bo rzeczywiście nieco się garbię.

— Ciągle ślęczę nad książkami — mruknąłem.

— Och, ja także to robię — odrzekł Skwarek. — Jedno drugiemu nie przeszkadza Starożytni mówili: „Mens sana in corpore sano", co znaczy: w zdrowym ciele zdrowy duch. Rozwój intelektualny powinien iść w parze z rozwojem fizycznym.

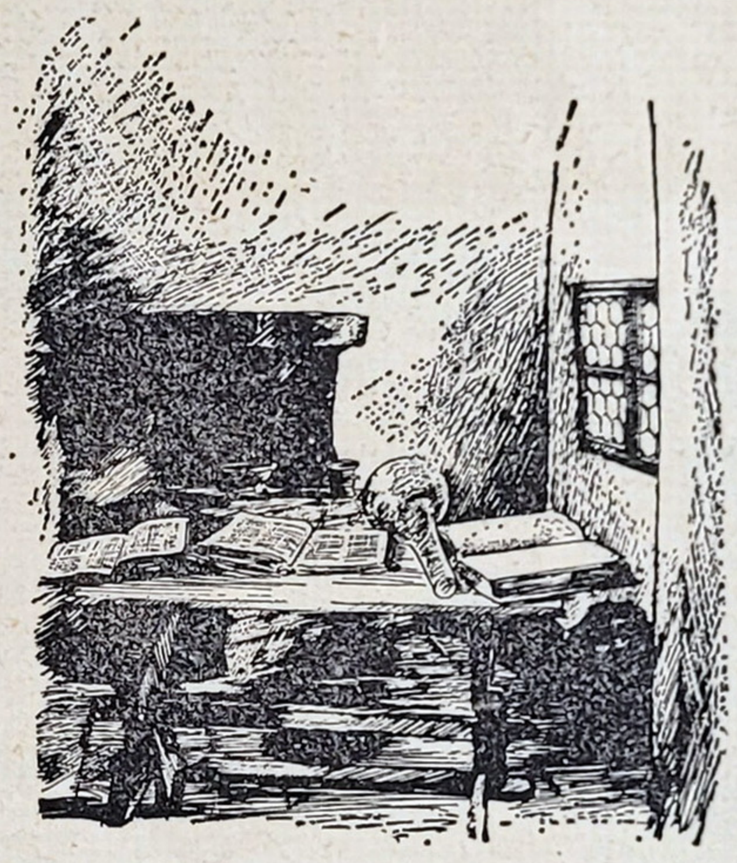

Panna Dohnalowa wydęła pogardliwie swoje piękne usteczka i oświadczyła:

— Moje koleżanki niekiedy pytają mnie, jaki jest mój ideał mężczyzny i dlaczego do tej pory nie wyszłam za mąż. Odpowiadam im, że najbardziej cenię inteligencję. Przy zamóżpójściu nie będę się kierować urodą mężczyzny, ale jego intelektem.

— Pani jest wyjątkowa — stwierdziłem.

— Tak. Mózg jest najważniejszy — powtórzyła panna Dohnalowa.

— To wyjdź za mąż za mózg elektronowy — zachichotała Ludmiła.

— Cicho! — skarciła ją Helenka. — Co ty możesz o tym wiedzieć? Za mała jesteś. Uważam również, że i w kobietach powinno się cenić inteligencję, nie urodę.

— Ach, co też pani mówi! — zawołałem zdziwiony.

Panna Dohnalowa zmierzyła mnie surowym spojrzeniem.

— A tak, proszę pana. W ostatnich latach ciągle miałam o to sprzeczki z najróżniejszymi młodzieńcami i mężczyznami. Gdy zdecydowałam się studiować historię sztuki, a przy okazji zapisałam się na sanskryt i hebrajski, bez przerwy słyszałam złośliwe uwagi: „Po co pani sanskryt, panno Dohnalowa. Taka piękna kobieta powinna wyjść za mąż i mieć kupę dzieci, a nie studiować hebrajski". Oburzające, prawda? A gdy po skończeniu studiów zgłosiłam się do pracy w Ministerstwie Kultury, to najpierw jakiś urzędnik powiedział do mnie: „Przepraszam panią, ale artystki mają swój departament o piętro wyżej". Stwierdzam, że uroda kobiecie przeszkadza.

— Sądzę, — powiedział Skwarek — że jedno drugiemu nie szkodzi. Można być ładnym i mądrym. W Towarzystwie „Mensa" spotkałem wiele wybitnie inteligentnych kobiet, które miały równie wybitną urodę.

— „Mensa"? — zapytał pan Dohnal. — A cóż to za Towarzystwo?

— Nie słyszał pan o „Mensie"? — zdziwił się Skwarek. — „Mensa", od łacińskiego „stół jadalny", to grono dyskutantów. Towarzystwo o nazwie „Mensa" skupia ludzi wybitnie inteligentnych, to jest takich, którzy uzyskali 132 punkty według skali Stanforda-Bineta lub powyżej 148 punktów według skali Catella. Niestety, zaledwie dwa procent ludzi na świecie odznacza się wybitną inteligencją. Towarzystwo „Mensa" liczy sobie tylko dwadzieścia tysięcy członków; dwanaście tysięcy w USA, trzy i pół tysiąca w Wielkiej Brytanii, siedemset osób we Francji i w innych krajach. U nas ideały „Mensy" nie są jeszcze znane, niektórzy w ogóle nie wiedzą o ich istnieniu. A tymczasem Towarzystwo to czyni wiele dobrego, pozwala ludziom wybitnie inteligentnym przedyskutować nurtujące ich problemy. Jedną z akcji „Mensy" było założenie na Sycylii miasteczka i szkoły dla dzieci wybitnie zdolnych. Oczywiście, nie muszę zaznaczać, że warunkiem przyjęcia do „Mensy" jest posiadanie wybitnej umysłowości, co sprawdza się przy pomocy specjalnych testów.

— A pan, panie magistrze? — rzekła zaczepnie. — Pan okazał się wybitnie inteligentny i prawidłowo wypełnił test.

— Tak, proszę pani. Dlatego właśnie mam pewną nadzieję, że dostanę się kiedyś do grona ludzi z „Mensy".

— Jednym słowem, jest pan prawie genialny — ciągnęła dalej panna Dohnalowa.

— Ach, nie przesadzajmy — skromnie uśmiechnął się Skwarek.

— Skoro więc posiada pan wybitną inteligencję, to może potrafi pan rozwikłać tę oto zagadkę historyczną, nad którą od dawna na próżno łamię sobie głowę. Poprosiłam ojca, aby przy okazji zainteresował nią pana Tomasza, wielbiciela podobnych zagadek. Ale może obydwaj panowie zechcą sprawdzić działanie swoich szarych komórek.

To mówiąc z kieszeni swojej marynarki wyjęła małą srebrną blaszkę.

— Niewątpliwie należała ona do słynnego alchemika Edwarda Kelley'a, gdyż jest na niej wyryte jego nazwisko. Z tego też względu umieściłam ją w zrekonstruowanej w Złotej Uliczce pracowni alchemicznej. Niestety, nie potrafię zwiedzającym wyjaśnić, do jakich celów ona służyła.

— Czy to tę blaszkę usiłowano ukraść z pracowni? — zapytałem.

— Tak. Kawałek miki i tę blaszkę chciał ukraść Zdenek Blacha — odrzekła panna Dohnalowa.

W tym momencie wymieniliśmy z panem Dohnalem ukradkowe spojrzenia. Czyżby to był ten sam Blacha, który sprzedał halicką ikonę?

— Tak. To bardzo ciekawa sprawa — mruknąłem wyciągając rękę po leżący na stole przedmiot.

W drodze po blaszkę moja dłoń napotkała rękę magistra Skwarka.

— Przyjmuję pani wezwanie, panno Helenko — powiedział Skwarek. — Wezmę ją do hotelu i postaram się pani dać jutro wyjaśnienie.

— Świetnie! — uradowała się panna Helenka. — Ale zdaje mi się, że i pan Tomasz pragnie zająć się tą sprawą.

— Owszem. Z prawdziwą ochotą — przytaknąłem.

I mała, ładna dłoń panny Helenki przykryła blaszkę leżącą na stole.

— Blaszka zostanie tutaj, u mnie, a obydwaj panowie przerysują wszystko, co zostało na niej wyryte. Jutro dacie mi swoje rozwiązania. Zgoda?

— Znakomita zabawa! — zawołała Ludmiła. — Jakby teleturniej!

C.d.n.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. RSW „Prasa—Książka—Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Telefony: 28-00-73, 21-21-29. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, telefon 26-75-39. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa—Książka—Ruch", 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 25, do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 10 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa—Książka—Ruch", 00-840 Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na poprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa—Książka—Ruch", 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 500 W-56

PRASOWA mieszanka KRAJOWA

NOWY TRAMWAJ

Chorzowski „Konstal" opracował nowy model tramwaju typu 105—N odznaczający się nowoczesnymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi. Drzwi tego tramwaju otwierać może nie tylko motorniczy, lecz również pasażer po naciśnięciu umieszczonego przy wejściu przycisku. Znacznie większe niż w modelach poprzednich są okna tramwaju, których szyby częściowo pochłaniają promienie podczerwone. W wozie zmieści się 125 osób.

(„Echo Krakowa")

METRO DLA KRAKOWA

Kraków będzie prawdopodobnie jedynym w naszym kraju miastem, w którym powstanie tzw. metro głębinowe. Jest to konieczne ze względu na gęstą zabudowę centrum miasta i jego zabytkowy charakter, nie pozwalający na wyburzenie budowli. Pierwsza linia — długości 25 km — połączy Nową Hutę poprzez śródmieście Krakowa ze Skawiną. Terminu jej oddania na razie nie podano.

(„Wieczór" Katowice)

AUTOMATYCZNY MILICJANT

Na jednym ze skrzyżowań ulicznych w Poznaniu z powodzeniem działa urządzenie do sterowania pojazdami samochodowymi. Pozwala ono w zależności od sytuacji na wlotach ulic regulować zmianę świateł sygnalizacyjnych na skrzyżowaniu. Możliwe to jest dzięki zespołowi zainstalowanych na jezdni czujników, które bez przerwy mierzą natężenie ruchu kołowego.

(Polska Agencja Prasowa)

OPOCZYŃSKIE „MORZE"

W tym roku rozpocznie się budowa kolejnego wielkiego zbiornika wodnego w woj. kieleckim. W pobliżu wsi Miedźna w Opoczyńskiem powstanie sztuczne morze, które nawodni około 1800 hektarów zmeliorowanych już łąk. Na jego brzegach wyrosną ośrodki wypoczynkowe. Wykonawcą będzie Warszawska „Hydrobudowa".

(„Wieczór" Katowice)

Przyroda kontra technika

Jak lepiej — na KOŁACH czy na NOGACH?

Człowieka zawsze fascynowały „wynalazki" przyrody: lot, pływanie, czyli te umiejętności, których sam był pozbawiony. I w tej dziedzinie sukcesy mamy ogromne — samoloty, rakiety, okręty, radar. Warto przypomnieć, że ruch odrzutowy stosowany w rakietach jest przecież bardzo podobny do sposobu poruszania się mątw, ośmiornic... A radar? To genialne urządzenie do „widzenia" na odległość jest jakby kopią aparatu orientacyjnego nietoperza lub delfina. Podobnych przykładów można by mnożyć.

Koło i nogi

W pracowniach radzieckich uczonych, bioników, od kilku lat trwają badania mające na celu zbudowanie „kroczących" pojazdów. Przecież niemal wszystko co żyje na lądzie porusza się za pomocą nóg. Czyżby przyroda popełniła błąd, rezygnując z koła?

Na czym polegają jego zalety i wady w porównaniu z nogami?

Niestety, koło ma tylko jedną przewagę — w szybkości. I to jedynie na twardej nawierzchni. Już o kilka metrów od jezdni koło staje się bezradne. Bagno, pień drzewa, rów stanowią dla niego przeszkodę nie do przebycia. Wprawdzie jest jeden rodzaj pojazdów kołowych, które same „ścielą sobie drogę" — maszyny gąsienicowe. Mają one znacznie lepsze właściwości trakcyjne, ale są za ciężkie, a na wprawienie ich w ruch trzeba dużych ilości energii. Nogi są z punktu widzenia techniki znacznie trwalsze od koła, mają bardzo wysoki współczynnik sprawności, a co najważniejsze — są niezawodne w pracy.

Spostrzeżenia te doskonale są znane uczonym. Powstaje więc pytanie: czy nikt dawniej nie próbował budować kroczących pojazdów? Przecież na pierwszy rzut oka nogi skonstruowane są bardzo prosto — tylko mieśnie i stawy... Otóż powstały już różne wersje „nogochodów", ale wszystkie one są bardzo nieudolnym naśladownictwem przyrody.

W czym tkwi przyczyna niepowodzeń? Dotychczasowe „nogochody" jedynie powierzchownie imitują ruch zwierząt, a mechaniczne nogi nie mają nic wspólnego z kończynami zwierząt. Aby zbudować dobry model żywego organizmu, należy przede wszystkim poznać zasady jego budowy i działania. Właśnie tym zajmują się obecnie radzieccy specjaliści.

Pies na ruchomej taśmie

Pracownik naukowy dr. W. Kotok przesuwa dźwignię, na której umieszczono psa. Jego łapy poruszają się lekko i harmonijnie. Gdzieś we wnętrzu zwierzęcia samoczynnie „przełączają się biegi" w rytmie wypracowanym w ciągu milionów lat ewolucji. Do nóg psa przymocowane są czujniki elektrod połączone następnie z aparatem rejestrującym przebieg doświadczenia.

W czasie biegu zwierzęcia po ruchomej taśmie

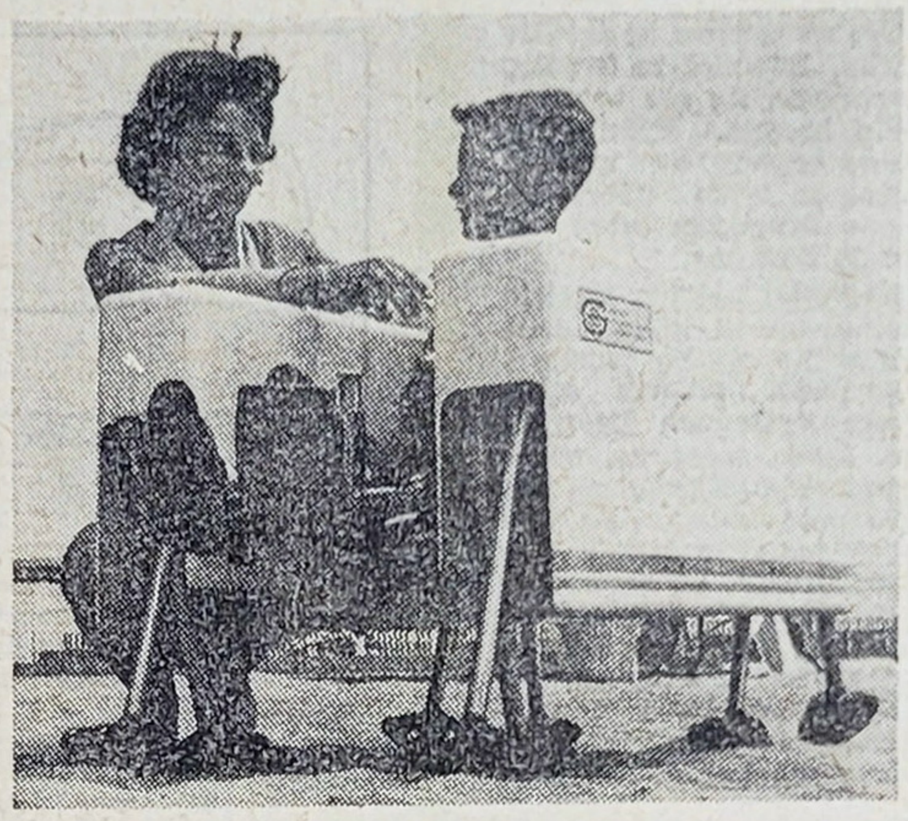

mięśnie jego nóg wysyłają tzw. biosygnały. Są to bardzo słabe prądy, które zapisywane są na błonie fotograficznej. W ten sposób uczeni mają możność sprawdzić, które mięśnie i w jaki sposób uczestniczą w czasie ruchu nóg.

— Badając funkcje mięśni — mówi dr Kotok — zetknęliśmy się z zagadkowymi zjawiskami. Okazało się, że niektóre mięśnie nie pracują w trakcie ruchu. Spośród 160 tylko 32 przekazują do czujników sygnały bioelektryczne. Po co więc są zbędne „części"? Przypuszczamy, że natura zaopatrzyła w nie zwierzę na wypadek klęsk żywiołowych: trzęsień ziemi, powodzi, gwałtownych zmian klimatycznych. Wtedy właśnie organizm, może raz w życiu, uruchamia „rezerwowy napęd". Aby nie zginąć, pies musi w takiej sytuacji pływać, wspinać się na drzewa i skały. Wszak układ powinien być maksymalnie niezawodny bez względu na okoliczności. Te cechy niezbędne są także kroczącemu robotowi.

Tajemnica ruchu

Badacze musieli również zrewidować pewne niezachwiane dotychczas prawdy, ustalone już w starożytności. Otóż uważano, że nogi zwierząt w trakcie biegu wykonują równomierne, wahadłowe ruchy. Po sprawdzeniu okazało się, że tak nie jest. Każdy staw kończyny psa, kozy, zająca w trakcie biegu wykonuje co pewien czas dwa lub trzy nierytmiczne ruchy — przyśpieszenia lub hamowania. Po co są te „niecelowe" ruchy? Okazało się, że zapobiegają one rezonansowi ciała, który mógłby doprowadzić do zniszczenia całego organizmu. Z tego samego powodu kolumny wojskowe maszerujące przez most nie idą „w nogę" lecz jak kto chce. Równomierny marsz tworzy bowiem rezonans, który mógłby rozkołysać most i spowodować jego zawalenie.

Doskonały budulec, doskonały smar

Ale przeniknąć tajemnice ruchu, to jeszcze nie wszystko. Konstruktorzy muszą wiedzieć, jaki materiał należy zastosować do budowy „nóg" kroczącego pojazdu. Przyroda „wynalazła" kość. Uczeni pragną więc dowiedzieć się czemu tak pozornie słaby materiał wytrzymuje ogromne obciążenie. Owca np. potrafi zeskoczyć z 12-metrowej skały bez żadnej dla siebie szkody.

Czym jest tkanka kostna? Najogólniej mówiąc, jest to coś w rodzaju betonu zbrojonego stalą. Kość jest jakby zlepiona z mnóstwa elementów o różnej gęstości i elastyczności. Nikt jeszcze nie zdołał uzyskać sztucznie takiego materiału.

Przyroda, aby zapobiec wycieraniu się stawów, zastosowała niezwykły smar. Jak stwierdzono, ilość smaru naturalnego, jego skład chemiczny i lepkość zmieniają się zależnie od prędkości ruchu zwierzęcia. Naukowcy są zdania, że gdyby udało się uzyskać podobną substancję i zastosować np. w samochodzie, nie trzeba by części zamiennych. Współpracujące ze sobą elementy metalowe byłyby niezniszczalne.

Czy po tym wszystkim co dziś wiemy o tajemnicy ruchu naturalnego, można zbudować kroczący pojazd? W tej chwili jeszcze nie, problem jest bowiem niesłychanie skomplikowany. I to nie tylko z punktu widzenia mechaniki, ale przede wszystkim z braku odpowiedniego budulca. Niemniej badania spowodowały, że wiemy już jaki powinien być dobry pojazd kroczący. A więc PO PIERWSZE: musi mieć cztery „kończyny". Zgodnie z prawami mechaniki jest to układ najstateczniejszy przy chodzie i biegu. PO DRUGIE: każda „noga" powinna mieć 2 — 3 stawy oraz trzy szybkości i pięć programów działania. PO TRZECIE: „stopa", czyli zakończenie sztucznej nogi powinno mieć kształt pazurowo-poduszkowy, gdyż taka „stopa" najlepiej przystaje do podłoża.

Kto wie, czy taki idealny pojazd kroczący kiedykolwiek zostanie zbudowany. W każdym razie nie nastąpi to szybko. (bor)

Na zdjęciach przedstawiamy różne wersje pojazdów kroczących, które miały być zastosowane do poruszania się na Księżycu. Niestety, ich sprawność jest na razie bardzo mała

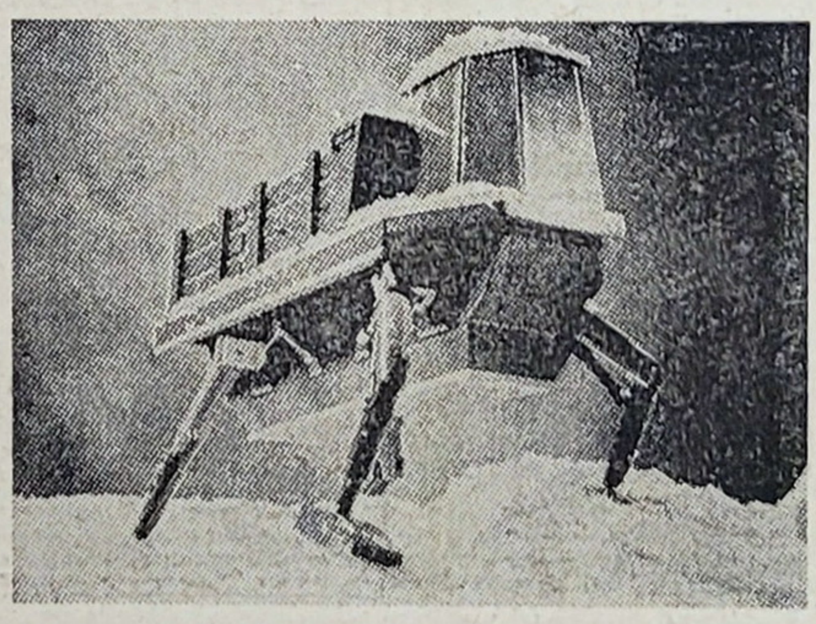

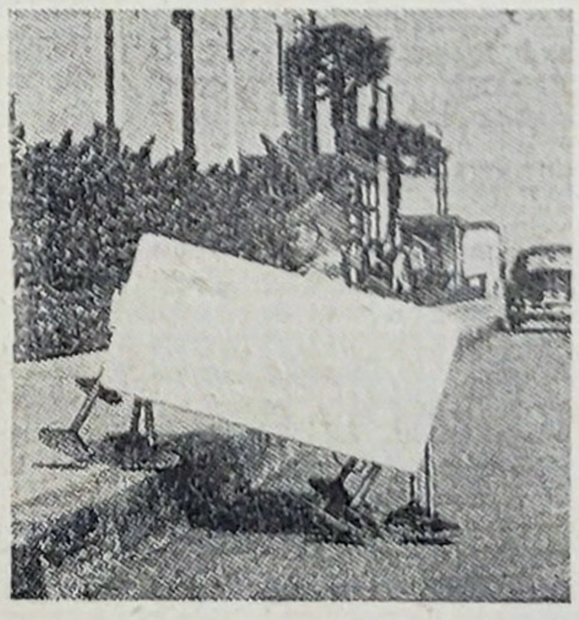

„PIRUET"

„ZŁOTY KRĄŻEK"

7

Nie w każdym zakątku kraju możemy pozwolić sobie na ćwiczenia łyżwiarskie. Ale brak lodu nie może zniechęcić was do uprawiania zabaw na świeżym powietrzu. Dlatego też dziś pokażemy kilka gier, do których wcale niepotrzebny jest lód. Wszystkie gry i zabawy dobraliśmy tak, aby wyrabiały u ćwiczących umiejętności operowania kijem hokejowym, wzmacniały mięśnie rąk i nóg, a jednocześnie pozwoliły wesoło spędzić czas.

STRZAŁ W „DZIESIĄTKĘ"

Narysujcie na podwórku koło o średnicy ok. 2 m. Podzielcie je na cztery równe części. Każdą z nich oznaczcie kolejno cyframi 1, 2, 3, 4. Zespoły, o jednakowej ilości zawodników, ustawiają się w rzędzie w odległości 10 m od koła. Zawodnicy obydwu drużyn starają się wstrzelić krążek do koła. W zależności od tego, w jakim polu zatrzyma się krążek, przyznajemy drużynie taką ilość punktów. Wygrywa oczywiście zespół, któremu udało się uzyskać ich największą ilość.

Tę grę można uatrakcyjnić i utrudnić poprzez ustawienie między strzelającymi a kołem wąskiej deski. W tym wypadku trzeba będzie tak podrzucić krążek, aby przeleciał nad leżącą przeszkodą. O zasadach „podnoszenia" krążka już pisaliśmy.

HOKEJ NA TRAWIE

Te zawody można przeprowadzić dosłownie wszędzie. W tym celu wyznaczcie boisko o wymiarach 50 — 25 m, bramki szerokości 2 m, pole karne z promieniem (r) 3,5 m i środek boiska (patrz rys.) W zawodach startują dwie pięcio- lub siedmioosobowe drużyny. Mecz rozgrywa się w trzech tercjach. Każda tercja trwa 10 min. Przerwy między nimi wynoszą 5 min. Każdy zawodnik wyposażony jest w hokejowy kij. Do gry używamy zwykłej piłeczki palantowej lub gumowej. W składach pięcioosobowych w ataku gra trzech zawodników, jeden na obronie i bramkarz. W zespole siedmioosobowym: czterech napastników, dwóch obrońców i bramkarz. Żadnemu zawodnikowi oprócz bramkarza nie wolno wejść na pole karne. Za to przewinienie będzie bity rzut wolny. Kapitanowie drużyn losują boiska i już możemy rozpocząć mecz.

Grę zaczynamy ze środka boiska. Również ze środka rozpoczyna się gra po zdobyciu bramki. Piłki nie wolno kopać ani rzucać; ważne są tylko uderzenia kijem. Bramkarz broni w sposób dowolny.

Najlepiej byłoby, abyście skompletowali kilka drużyn w hokeja na trawie i rozgrywali między sobą, mecze systemem ligowym tzn. jeden mecz na własnym boisku, a drugi na boisku przeciwnika. Za wygrany mecz uzyskuje się dwa punkty, za remis jeden. Mistrzem ligi zostaje drużyna, która ma najwięcej punktów. **Przy równej ilości punktów o pierwszeństwie decyduje ilość zdobytych bramek. A jeżeli i to nie rozstrzygnie kto jest lepszy, należy przeprowadzić dodatkowy mecz na boisku neutralnym.**

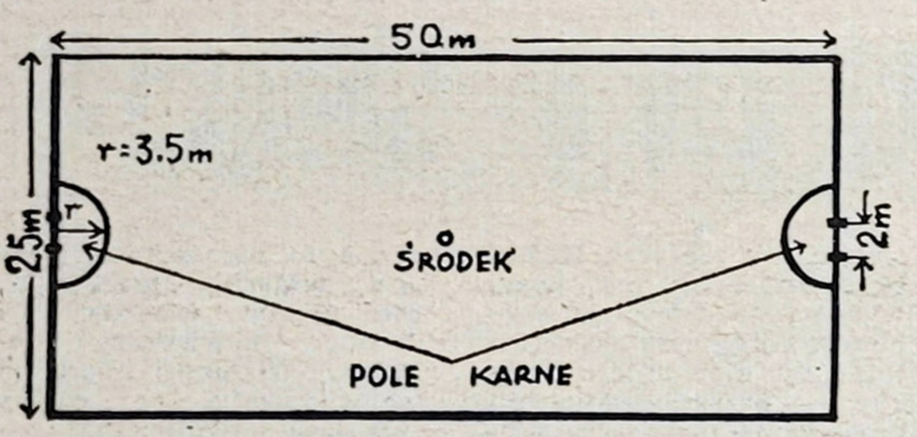

SLALOM Z KRĄŻKIEM

Dzielimy się na dwie drużyny. Na trasie ustawionych jest kilka chorągiewek. Na sygnał startera pierwszy zawodnik z danego zespołu prowadzi piłeczkę tak, jak to robiliśmy na łyżwach z krążkiem. Poszczególne chorągiewki mijamy raz z lewej, drugi raz z prawej strony. Po wyminięciu ostatniej z nich zawracamy i slalomem biegniemy do linii mety. Piłeczkę można oddać następnemu koledze z zespołu dopiero po minięciu mety. Grę kończymy, gdy ostatni zawodnik wraz z piłeczką zamelduje się na mecie. Ta drużyna, która uzyska najlepszy czas wygrywa.

✲

Ładna pogoda sprzyja rozegraniu błyskawicznej olimpiady. Wymyślcie jeszcze kilka gier i zabaw i urządźcie małe igrzyska na własnym podwórku. Życzymy przyjemnych rozgrywek. (zp)

Redaguje:
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

Na rysunku widzicie mój najnowszy wynalazek. Jest to samochodowa przyczepa turystyczna.

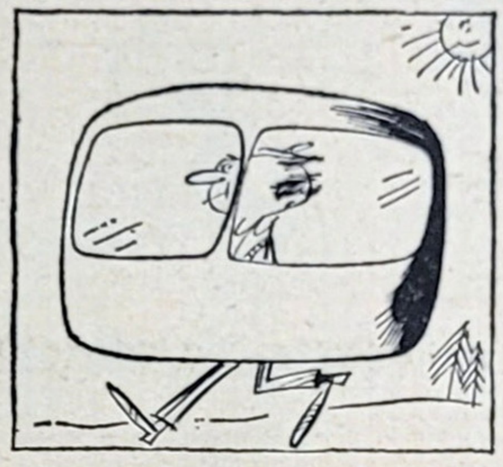

Dziś, w dobie oszczędzania paliwa moja przyczepa jest wynalazkiem bardzo „na czasie". Nazwa: „samochodowa" niechaj nie budzi niczyich wątpliwości. Tu się przecież samemu chodzi, więc wszystko jest w porządku. Przyczepa połączona jest z jej posiadaczem przy pomocy szelek.

A oto miły drobiazg dla tych, którzy zamienili ostatnio samochód na parasol: wycieraczka.

✲

Są ludzie, którzy na skutek nadmiernego używania samochodu „zrośli się" po prostu z kierownicą. W takim przypadku należy odzwyczajać się stopniowo. Pierwszy etap kuracji widzicie na rysunku.

Do zobaczenia za tydzień
Wasz RZEP

RZEP-KLUB
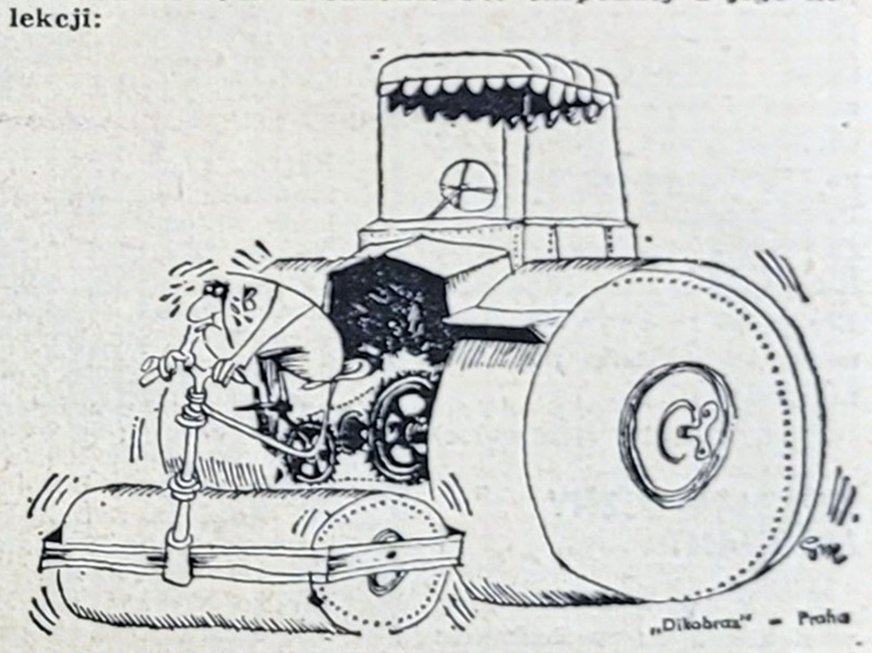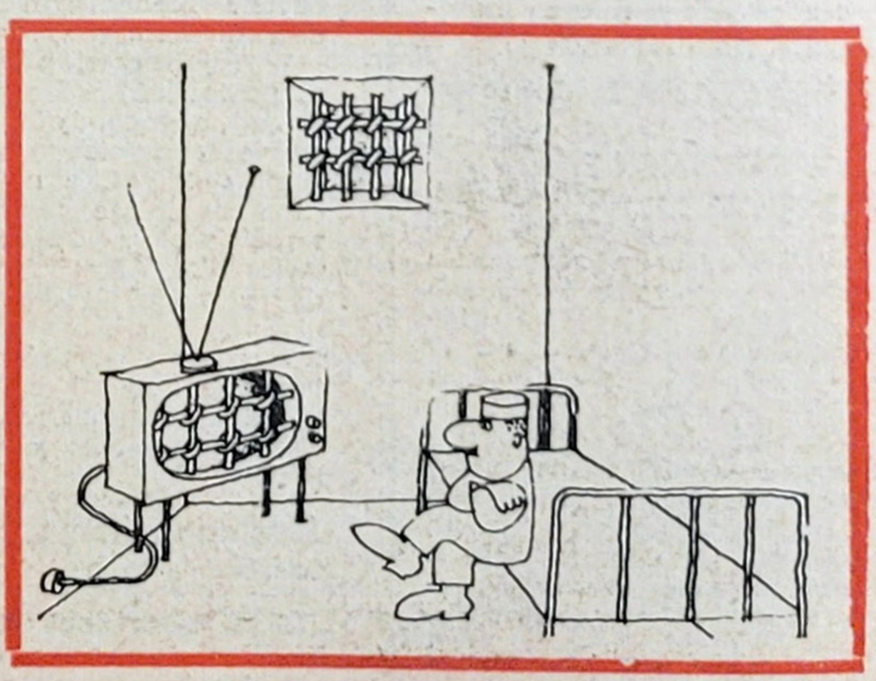
Przedstawiam nowego członka klubu. Jest nim Piotr Paluch z Sanoka. Oto eksponaty z jego kolekcji: